

Autorka bestsellerowej książki **TWEET CUTE**

Lista marzeń



Emma Lord

Przełożyła Patrycja Pokora

 Young

Emma Lord

Lista *marzeń*

Przełożyła Patrycja Pokora



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Getaway List

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Ida Świerkocka

Korekta: Bożena Sęk

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Grafika na okładce: Jen Edwards

DTP: Maciej Grycz

The Getaway List Text Copyright

Copyright © 2023 by Emma Lord

Published by arrangement with St. Martin's Publishing Group.

All rights reserved.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Young an imprint of Wydawnictwo KobiECE
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Patrycja Pokora, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-807-1

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl





Rozdział 1

Gdyby się nad tym zastanowić, to bycie odrzuconą przez wszystkie dziesięć college'ów, do których złożyło się papiery, stanowi nie lada wyczyn. Postąpiłam według utartego schematu: wybrałam trzy pewniaki, trzy opcje typu „być może” i trzy uczelnie, do których trudno się dostać. Do tego wykazałam się wystarczającym tupetem, by złożyć podanie do Uniwersytetu Nowojorskiego, na wypadek gdyby jakiś bogaty krewny zmarł i zostawił mi w spadku bimbalion dolarów na czesne. W odpowiedzi dostałam plik listów rozpoczynających się od „Dziękujemy, ale niestety...” w bardzo cienkich kopertach zaadresowanych do Riley Larson. Jasne, nasz biedny listonosz od kwietnia nie patrzy mi w oczy, ale wiecie co? Statystycznie rzecz biorąc, czyni mnie to całkiem wyjątkową.

Co prawda moja mama nie była szczególnie zadowolona, gdy odkryła, że listy z odmowami posłużyły mi do zrobienia papier mâché, którym okleiłam swój biret absolwentki, jednak ostatnio zachowuję się jak wzorowa córka. Nie wspominając

już o tym, że całe lato spędzę na pomaganiu jej w kawiarni. Mam prawo do odrobiny nastoletniego buntu. Poza tym – po czterech długich latach niedosypiania, łez ronionych nad średnią ocen i znoszenia upokorzenia, jakim jest posiadanie, kurde, szkolnej maskotki dżdżownicy (nie pytajcie!) – uczniowie Falls Creek High zasłużyli na śmiechowy przerywnik. Ja tylko robię, co do mnie należy.

Prześlizguję się między kolegami z roku do swojego miejsca, które znajduje się wśród innych osób z nazwiskiem na „L”, wciśnięta między już lekko wstawioną Elle Lake (szkoła stonowa) i bardzo ponurego Cheta Lawrence’a (Harvard; Chet jest kujonem). Wygląda na to, że organizatorzy zostawili na naszych siedzeniach małe paczki żelków dżdżownic. Niezbyt odkrywczе. Po otwarciu mojej paczki podnoszę jasnozieloną dżdżownicę i mówię:

– Za to, żebyśmy wszyscy się stąd ewakuowali.

Sporo osób z mojego rocznika przyłączyło się do tego nonsensownego toastu, choć dla mnie miał on lekko gorzki posmak, którego nie mogła zatrzeć nawet limonkowa gumkowata dżdżownica. Większość tych osób naprawdę się stąd ewakuuje. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że ja utknę w Falls Creek do samej śmierci.

Zanim pograżę się w żalu, skanuję wzrokiem znajdujący się za nami tłum rodziców, szukając swojej mamy, która – jak na prawdziwą mamę przystało – jakimś cudem dotarła tu przede mną. Wiedziałam, że będzie gdzieś w pierwszym rzędzie, i dlatego wysłałam jej już esemesa z listą uczniów, którzy chcieliby ją poprosić o nagranie, jak przechadzają się po scenie. Zrobi to z ochotą. Nikt nie kocha takich misji bardziej niż moja mama. Ba, prawdopodobnie nagra cały pięciusetosobowy rocznik ot, „na wszelki wypadek”.

Zanim udaje mi się ją znaleźć, telefon na moich kolanach budzi się do życia dzięki wiadomości, którą wysłał mi Tom – właśnie on ze wszystkich ludzi na świecie.

Puszczają to na żywo. Nie spartol czegoś.

Moja twarz natychmiast rumieni się od fali ciepła, a na usta wpłza mi uśmiech. Tom jest moim najlepszym ever, ale i najgorszym przyjacielem – najlepszym, bo naprawdę oddalibyśmy życie za siebie nawzajem. Najgorszym, bo w ciągu ostatniego roku pisał do mnie od wielkiego dzwonu.

Czy błękit togi podkreśla mój lęk egzystencjalny?

Odpowiedź Toma przychodzi natychmiast:

**Nie tak dobrze, jak zrobiłaby to standardowa czerń,
ale jest okej.**

Wiem, że zważywszy na to, że kamera jest wycelowana w scenę, tak naprawdę nie ma szans, by Tom mógł mnie zobaczyć, ale czuję, jakby był tu z nami w tej dusznej sali gimnastycznej. Ba, byłby tutaj, gdyby nie jego mama Vanessa, która latem po pierwszym roku liceum nagle wywiozła go na Manhattan w odważnej próbie zrujnowania życia nam obojgu. (No dobra, przeprowadzili się z powodu jej niebawale zajebistej pracy jako scenarzystki i reżyserki – jej debiutancki film niezależny stał się kultowym hitem z oscarową nominacją. Niemniej to, co powiedziałam, pozostaje w mocy).

Odpisuję:

Co takiego stało się z całym Nowym Jorkiem, skoro jesteś na tyle wynudzony, że to oglądasz? Myślałam, że o tej porze będziesz już miał całą paczkę nerdów z Columbii, z którymi mógłbyś się bujać.

Dyrektor posyła mi ze sceny ostre spojrzenie. Kieruję w jego stronę swój najbardziej bezczelny uśmiech i nawet nie zawracam sobie głowy próbą schowania telefonu. Co miałby zrobić, zawieść mnie znowu na ostatnie pięć minut mojej licealnej kariery? Banał, moja teczka jest pełna takich akcji.

To patrz na ten zwrot akcji: myślę o zrobieniu sobie roku przerwy. Poza tym w NY najbardziej hot są właśnie transmisje z rozdań dyplomów w Wirginii. Nadażaj.

Mrugam w ekran telefonu i wydaję z siebie głośnie „O”. Jeszcze niedawno Tom był cały podjarany perspektywą uczelni z Ligi Bluszczowej, dlatego kupiłam mu na Etsy kubek z logiem Columbii po jednej stronie i napisem „nerdowe pićko” po drugiej.

Ee, no co pan??? I co będziesz robił przez rok przerwy???

A potem, żeby złagodzić atak roju znaków zapytania, dodaję:

Jeśli dołączasz do cyrku i nie zaprosiłeś mnie ze sobą, sprawię, że będziesz tego serdecznie żałował.

Tom nie odpisuje od razu, ale tego można się było spodziewać. Ostatnio za każdym razem, kiedy zadaję mu jakieś osobiste pytanie, udzielenie odpowiedzi zajmuje mu od trzech do trzyestu czternastu razy więcej. Siadam wygodnie z moimi żelkami

dżdżownicami i pozwalałam sobie na całkowite oderwanie się od rzeczywistości podczas wszystkich pięciu przemówień na zakończenie, czytając najnowszą powieść fantasy, którą ściągnęłam sobie na komórkę. Dopiero gdy w końcu nadchodzi kolej naszego rządu, by wejść na scenę, Elle szarpnięciem wyrywa mnie z zawieszenia.

Kiedy wchodzę po stopniach na podest, wiele rzeczy przeleatuje mi przez głowę. W większości nieprzydatnych – jak na przykład to, że nadal nie mam pojęcia, jak wypisać czek, mimo że pani w banku lekkomyślnie powierzyła mi ich całą książeczkę, gdy w zeszłym miesiącu, przy okazji osiemnastych urodzin, otworzyłam konto. Albo to, że nigdy nie udało mi się ugotować niczego, co nie zawierało dołączonej instrukcji dotyczącej odgrzania w mikrofalach. Albo że nie mam pojęcia, co zamierzam zrobić ze swoim życiem ani co będę robić, kiedy skończy się lato. Nie mam nawet wystarczającego wyczucia własnych zainteresowań, by nie położyć choćby najbardziej topornego quizu typu „Wybierz, z czym zjesz naleśniki, a my opowiemy ci o twojej przyszłej karierze” na BuzzFeedie.

O wiele za wcześnie się okazuje, że idąca przede mną Elle wchodzi na scenę ze swoim promiennym uśmiechem pod tytułem „Totalnie nie popijałam wina w kartonie od mojej mamy”. Czuję w kieszeni kształt mojej komórki i biorę głęboki oddech, gdy nagle ogarnia mnie spokój. Tom tu jest. A w każdym razie jest tak bardzo „tu”, jak to możliwe. Nieważne, że czas mija – zawsze czuję się najodważniejszą wersją siebie, kiedy mam go blisko.

Światła są tak jasne, że – gdy przechodzę przez rozklekotaną scenę – ledwo mogę znaleźć kamerę transmitującą wydarzenie na żywo, ale udaje mi się ją dostrzec w samą porę. Odbieram dyplom od naszego dyrektora – który może mógłby postarać się nie wyglądać na aż tak szczęśliwego, że odchodzę – a kiedy wyciąga do mnie dłoń, patrzę prosto w kamerę i wykonuję jedną ręką

szybką sekwencję gestów zakończoną przystawieniem do nosa dłoni i imitacją gry na trąbce.

Uczniowie siedzący na ławkach wybuchają śmiechem. Przesyłam im całusa na dokładkę, natychmiast zauważając mamę, która jedną ręką robi facepalm, ale w drugiej wciąż dzielnie trzyma w powietrzu aparat.

Tom napisał do mnie, jeszcze zanim wróciłam do swojego rzędu.

Gratulacje, kompletnie niepoważna osobo!

Obok wrzucił ciąg emoji w kształcie różnie upozowanych dłoni przypominający sekwencję, którą właśnie przedstawiłam na scenie w okrojonej jednoosobowej wersji – ten głupiutki układ, który wymyśliliśmy w piątej klasie.

Uśmiech na mojej twarzy trochę boli, kiedy myślę o tym, jak dalecy jesteśmy teraz od tamtych małych umorusanych hałaśliwych dzieciaków. Tom dodaje:

A teraz wyjaśnij mi, proszę, co zrobiłaś z tym niepodjejrzanym niczego biretem.

Siadam z powrotem na swoim miejscu, zdejmuję nakrycie głowy i odkładam je na kolana, żeby widzieć te wszystkie listy odmowne lśniące od brokatowego kleju. Tom oczywiście wie o tych odmowach. Przynajmniej raz w tygodniu piszę do niego z nowinami i pytaniami, co porabia, mimo że przez połowę czasu przypomina to rozmowę ze ścianą. Wiem, że oszaleje na punkcie tego projektu artystycznego, ale zanim zrobię zdjęcie, przekręcęm biret, by spojrzeć do środka, i mam wrażenie, że przekręciłam przy tym swoje serce, tak że teraz na wierzchu jest jego delikatny czuły spód.

Pod czapką jest jeszcze jeden, niepewnie przymocowany, kawałek papieru. Jest zapisany odręcznym pismem; to coś, co tylko Tom by rozpoznał – „Lista Marzeń”, jak ją nazwaliśmy po tym, gdy się wyprowadził. Zawiera przygody, których nigdy nie przeżyliśmy: warsztaty interaktywnego pisania na Manhattanie, na które chcieliśmy iść latem po pierwszej klasie liceum, ale moja mama awansowała i potrzebowała ode mnie pomocy, gdy w kawiarni na niektórych zmianach brakowało personelu. Wycieczka na kemping, którą próbowaliśmy zorganizować w drugiej klasie z kilkorgiem przyjaciół, ale nie wypaliło. Praca dorywcza, którą chciałam podjąć zeszłego lata w tej samej rowerowej firmie kurierskiej, w której w Nowym Jorku pracuje Tom, abyśmy mogli jeszcze raz przeżyć okres świetności polegający na jeżdżeniu po całym mieście, ale mama dała mi długi szlaban za moje niesławne zawieszenie.

Ten pomysł polegał na tym, że kiedy znowu się spotkamy, będziemy mogli zrobić wszystko z naszej listy, żeby nadgonić stracony czas. Problem w tym, że ciągle tylko traciliśmy go coraz więcej. Lista zaczęła się od wyparcia tego, że jesteśmy rozdzieleni, ale z czasem przerodziła się w wyraz akceptacji faktu, że nie możemy nic zrobić, by to zmienić. Akceptacji, która doprowadziła mnie teraz do tego absurdu momentu, gdy odczuwam świeże uderzenie bólu na myśl o tym, że od prawie trzech lat nie widziałam się z osobą, która zna mnie najlepiej na świecie.

Czuję, jakby przypominanie o tym Tomowi było w pewien sposób ryzykowne, bo żadne z nas nie wspomina o tym od miesięcy. Obawiam się, że to byłoby równoznaczne z przyznaniem się do porażki. Dopiero gdy wysyłam mu zdjęcie listy i przechodzi mnie przy tym nietypowy nerwowy dreszcz, dociera do mnie prawda: choć część mnie ciągle ma nadzieję, że uda nam się zrealizować przynajmniej kilka marzeń, to druga część, głośniejsza, boi się, że

tak bardzo oddaliliśmy się od dzieciaków, które zaczęły spisywać tę listę, że Tom nawet nie chciałby już tego robić.

Tom nie odpowiada od razu, za to dostaję od mamy wiadomość o treści:

Nie mogę się doczekać, aż pokażę to Twoim dziadkom.

Dołącza do niej zdjęcie, na którym szczerzę się na scenie niczym szakal z kciukiem przytkniętym do nosa. Parskam śmiechem i chowam telefon na resztę ceremonii, starając się wyrzucić z głowy poczucie niepokoju.

Czuję, jakby ktoś przewinął szybko całą resztę poranka, bo zanim się orientuję, dyrektor gratuluje klasie maturalnej, a rozklekotane krzesła skrzypią, gdy wszyscy zrywamy się na równe nogi. Birety i żelkowe dżdżownice wzbijają się w powietrze, uczniowie się wydzierają, jakby nagle wyhodowali po trzecim płucu, a ja czuję napięcie unoszące się w sali, jakby elektryczność pulsowała mi w kościach.

A nie, zaraz. To telefon wibruje mi na biodrze. Wyciągam go z kieszeni i widzę spóźnioną odpowiedź Toma.

Wiesz co, tęsknię za Tobą jak pojebany. Każdego dnia.

Przepraszam, że słabo mi idzie podtrzymywanie kontaktu.

Chciałem Ci to tylko powiedzieć.

Mrugam, czytając esemesa, i czuję ucisk w gardle. Czapki wciąż latają w powietrzu, uczniowie się przepychają, wrzeszczą i odpalają wyrzutnie konfetti, a ja stoję pośrodku tego wszystkiego, gapiąc się na ekran telefonu i wstukując na nim słowa:

Ja też tęsknię za Tobą jak pojebana.

– Riley!

Unoszę głowę i widzę, że Jesse biegnie w moją stronę. Jego toga jest już szeroko rozpięta, a czarne podarte džinsy i wyblakły T-shirt z logiem jakiegoś zespołu ostro kontrastują z eleganckimi ciuchami, które wszyscy inni włożyli na zakończenie roku (łącznie z kompletem mojej mamy w przykrym pomarańczowym-jak-pa-chołek-drogowy kolorze, który akurat mam na sobie).

Trochę się zastanawiam, czy nie zażądać od niego, żebyśmy zamienili się ciuchami – przez te kilka miesięcy, kiedy spotykaliśmy się w drugiej klasie, wymieniliśmy się tyloma ubraniami, że w sumie nie ma gwarancji, że koszulka, którą ma na sobie, nie należy do mnie – ale on już kipi z ekscytacji, a jego przypominające mop jasne włosy podskakują, gdy podbiega do mnie.

– Stara, przybij!

Wyciągam dłoń do Jessego, który nie tylko zbija ze mną piątkę, ale chwyta mnie za rękę i unosi ją, jakbym właśnie zdobyła jakieś mistrzostwo. Jego oczy wyglądają jak podświetlone.

– Oto jesteśmy, naprawdę ruszamy w świat, by podążać za naszymi marzeniami – mówi, podkreślając ostatnie słowo kolejnym ściśnięciem mojej dłoni.

– Czyli zjemy McFlurry i będziemy drzemać do sierpnia? – pytam.

Jesse ma dziś w sobie chyba jeszcze więcej absurdalnie entuzjastycznego nastawienia do życia niż zwykle, bo robi obrót i wypuszcza mnie z rąk niczym niezgrabną balerinę.

– Nie, mam na myśli raczej powiedzenie sobie „olać system” i pójście własną drogą. Wiesz, że jesteśmy jednymi z nielicznych cool ludzi, którzy nie mają obok nazwiska nazwy uczelni na ulotkach z programem ceremonii? – pyta, unosząc z dumą świstek papieru.

Po pierwsze, nie wiedziałam, że w ogóle jest jakiś program, a co dopiero taki, który na nas kabluje. Jesse wkłada go ostrożnie

pod togę, traktując papier jak wszystkie ulotki i pamiątkowe drobiazgi z eventów – zbiera pamiątki niczym wielka sroka.

– Ech. Cóż, ja tak naprawdę nie olewam systemu – przyznaję. – Prawdopodobnie jesienią zapiszę się do szkoły policealnej.

Uśmiech Jessego błednie, jakby się nie spodziewał, że coś tak nudnego wydobędzie się z moich ust. Prawdę mówiąc, sama bym się nie spodziewała. Szybko dochodzi do siebie i mówi:

– No cóż, może będziesz musiała wpaść kiedyś do Nowego Jorku. W każdej chwili możesz zanocować u Walking JED.

– Zespół przenosi się do Nowego Jorku?

Bardziej zaskakuje mnie to, że o niczym nie wiedziałam, niż sam pomysł ich przeprowadzki. Członkowie Walking JED (nazwanego tak, bo chłopaki noszą imiona Jesse, Eddie i Dai, a do tego cała ich trójka ma kompletnego świra na punkcie zombie) są tak absurdalnie utalentowani, że to trochę dziwne, że nie zdecydowali się na egzaminy eksternistyczne i nie dali nogi z tego grajdołu już lata temu. Jesse jest głównym wokalistą i pisze większość ich piosenek, a biorąc pod uwagę jego niecodzienne wyczuwanie stylu i wyjątkowo słodki, jakby przydymiony głos, kwestią czasu się wydaje, aż ktoś podsunie im kontrakt na płytę.

Jesse kiwa głową, każdy centymetr jego ciała pulsuje energią.

– Tak, jutro z samego rana!

Tym razem nie da się zignorować tego bolesnego ukłucia między żebrami – tego, które od miesięcy czułam tuż pod skórą. Prawdę mówiąc, nie mam żadnych planów związanych ze studiami, więc nie chodzi o to, że zostanę w tyle w dosłownym sensie. Za to w przenośnym – bardziej. Rozglądam się wokół i widzę, że każdy ma jakiś pomysł. College. Rozwijanie swoich pasji. Zwiezdzanie świata.

Na moim horyzoncie widać lokalny McDonald's, a za nim znajduje się już tylko wielka podświetlana tablica z napisem „???”.

Czuję przyływ irracjonalnego strachu, jakbym właśnie podeszła za blisko krawędzi, nie wiedząc, że stoję na kłifie.

Ale właśnie wtedy dwa silne ramiona obejmują mnie od tyłu, a znajomy miętowy oddech mamy dociera do mojego ucha. Słyszę jej głos:

– No proszę, czy to moje świeżo upieczone absolwenckie diablę?

Pochyliam się, gdy całuje mnie w skroń i przytula jeszcze mocniej, po czym wypuszcza mnie z rąk.

– Popatrz – mówię, podając jej dyplom. – Darmowa rozpałka.

Jednak jej oczy zachodzą mgłą, gdy odpowiada:

– Założę się, że znajdziemy dla niego przyzwoitą ramkę. Zawiesimy go gdzieś w twoim pokoju?

Już mam się sprzeciwić pomysłowi zakłócenia wystroju któregoś z pomieszczeń w mieszkaniu jakimś świstkiem przypominającym najbardziej monotonne lata mojego życia, gdy Jesse zerka na nas i mówi szczerym tonem:

– Łaaaa, zawsze zapominam, jak bardzo jesteście do siebie podobne.

Nie myli się. Częściowo wynika to z faktu, że jestem wierną kopią mamy, do tego stopnia, że tata, którego nigdy nie poznałam, mógł równie dobrze wyklikać ctrl+c, ctrl+v na wbudowanej klawiaturze mojej mamy i odejść. Mamy dokładnie takie same miodowobrazowe loki, jednakowe orzechowe oczy, identyczną szczupłą budowę ciała i wysoki wzrost, a nawet, jakimś cudem, identyczny pieprzyk po prawej stronie pod dolną wargą.

Nasze podobieństwo wydaje się jeszcze bardziej uderzające, zważywszy na to, że mama jest ode mnie starsza tylko o dziewiętnaście lat, i ludzie zakładają, że jest moją siostrą, równie często, jak że jest moją matką.

– Och. Witaj, Jesse. – Mama rzuca mu rozbawione spojrzenie i dodaje: – Widzę, że dodałeś do kolekcji więcej tatuaży.

Moja mama lubi Jessego, jednak przepada za nim dużo bardziej, odkąd nie ma wątpliwości, że nie jesteśmy już parą. Jesse i ja nigdy nie odstawialiśmy numerów, które doprowadzałyby ją do szału (takich, jakie dorastając, wycinaliśmy z Tomem), ale związanie się z nim tuż po wyjeździe Toma prawdopodobnie nie pomogło całej sprawie. Jego miłość do tatuaży i gitar trochę za bardzo przypominała mamie jej rzekomą „dziką młodość” w Nowym Jorku, a prawdopodobnie już od chwili moich narodzin obawiała się, że powtórę jej błędy. Nie chcę ubliżać mojej mamie, która w swoim czasie była chyba niezłą agentką, ale całonocne wałęsanie się po klubach w biodrówkach, przy hitach z pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku, i popijanie cytrynowki z przemyconej błyszczącej piersiówki nie do końca jest w stylu jej nerdowatej córki.

(Dla jasności: mam przed oczami ten kuriozalny obraz tylko dzięki opowieściom moich ciotek; mama przemilcza takie szczegóły, jakby się martwiła, że zacznę je sobie notować).

– No – mówi Jesse z entuzjazmem, podciągając szeroki rękaw swojej togi. – Popatrz. To gitara, ale jej struny płaczą.

– Inspirujące – stwierdza mama cierpko.

Odciągam ją na bok, zanim zdąży go zapytać, czy ta dziara ma jakiś związek z Taylor Swift. Zdecydowanie miała; punkowy cover utworu *Cardigan* w wykonaniu jego zespołu zwyciężył w konkursie na hymn naszej szkoły, mimo że nie było go na liście, do czego się być może, a być może nie, przyczyniłam (jak na grupę dorosłych, którzy dopuścili do tego, by maskotką szkoły została dżdżownica, zarząd naszego liceum był tym zaskakująco rozdrażniony), ale nie starczyłoby nam życia na słuchanie, jak Jesse wkręca się w nawijanie o Swiftie. Chciałam natychmiast zjeść swoje McFlurry.

– Czekał. – Przypominam sobie. – Mój biret.

Tak bardzo skupiłam się na wyrzuceniu go w górę, że zapomniałam go złapać. Wow. Skończyłam liceum, a i tak nawet labradory mają więcej rozumu.

Mama wydaje z siebie głośnie „pff”.

– Nie sądzisz, że przeżyjemy bez tej jednej pamiątki?

– Nie, nie, to ważne – odpowiadam i czuję, jak ogarnia mnie panika. – Ja...

Przerywam nagle, bo przecież mama nie wie o naszej Liście Marzeń. Z mojej perspektywy większość naszych konfliktów wynikała z jej napiętego grafiku, bo w przerwie między zajęciami starała się brać każdą dodatkową godzinę w kawiarni, którą współprowadzi, by nas utrzymać – ostatnie, czego chcę, to żeby pomyślała, że nie jestem jej za to wdzięczna.

– Cóż, jestem pewna, że gdzieś tu jest – mówi mama i zaczyna przeglądać czapki porzucone na podłodze. Nie umyka mi, kiedy zerka szybko na zegar wyświetlony na ekranie komórki. Żeby tu być, zamieniła się z kimś w pracy. Jeśli chcemy utrzymać naszą świętą tradycję pójścia na McFlurry, to mamy na to coraz mniej czasu.

Czuję, jak zaciska mi się gardło. Może to by było na tyle. Pożegnanie, na które zasługuje Lista Marzeń. Jeśli tak – to naprawdę jest koniec. Wkraczamy w kolejny rozdział naszych żyć. Nie ma już *TomaiRiley* i *RileyiToma*, jak mówili o nas wszyscy sąsiedzi, bo dało się o nas powiedzieć wiele, ale najważniejsze było to, że jesteśmy nierozłączni. Teraz jesteśmy po prostu Tomem i Riley. Przyjaciółmi na całe życie – ale wiodącymi bardzo różne życia.

– Tam są moi rodzice – oznajmia Jesse. Ściskam go szybko jedną ręką, a on odwzajemnia uścisk i dodaje: – Serio, zadzwoń, kiedy będziesz w mieście. Czuję, jakby omijała cię niezła przygoda.

– Tak zrobię – odpowiadam, ale nawet w moich uszach te słowa brzmią pusto.

Wypuszcza mnie z ramion, a ja czuję, jakbym miała się rozplakać. Jakby nagle pojawiła się część mnie, która bardziej niż cegokolwiek innego pragnie tej przygody, ale jestem zbyt zagubiona, by wiedzieć, od czego zacząć. Mimo całego zamieszania na sali gimnastycznej w mojej głowie zapada teraz nieznośna cisza. Jakby bez tego całego hałasu lekcji, aktywności pozalekcyjnych i podań na studia została tylko ziejąca pustka wpatrująca się we mnie tam, gdzie powinno znajdować się moje odbicie.

Rzecz w tym, że nawet nie wiedziałabym, czego szukać – od wieków nie czułam się sobą. Czyli kimś, kto wykręcał numery nauczycielom za bycie wrednym dla naszych kolegów. Jak wtedy, gdy pan Zaff nazwał Jessego dzieciuchem, bo ten rozplakał się w trakcie filmu, który oglądaliśmy na lekcji, więc następnego dnia Tom i ja na każdą szafkę i szufladę założyliśmy mu zamki bezpieczeństwa dla dzieci. Kimś, kto podpuszczał ludzi z klasy, jak wtedy, gdy Tom zhakował szkolny głośnik, żebym mogła, udając głos nauczycielki, zapytać, czy Ava i Josh przyjdą do sekretariatu (do naszej szkoły chodziły wtedy dwadzieścia trzy Avy i dwudziestu pięciu Joshów, więc to piątkowe popołudnie szybko przeistoczyło się w chaos, który ogarnął całą szkołę). Kimś, kto grał w grę nazywaną przez Toma „zabawą w podstępne go elfa”, polegającą na podrzucaniu przypadkowych bibelotów w szafkach kolegów i bieganiu po całym mieście i zadawaniu pytań w takiej ilości, że mózg każdego rozsądnego dorosłego by się zlasował.

Kiedy byłam dzieckiem, mama nie zachowywała się jak nadopiekuńczy helikopterowy rodzic, ale w szkole średniej Tom i ja wycinaliśmy takie numery, że jej śmigło niemal mnie ogłuszało. Po incydencie, przez który zostałam zawieszona, wepchnęła mnie w tyle zajęć pozalekcyjnych i prac dorywczych, że nie miałam ani sekundy, z której by mnie nie rozliczano – i nawiasem mówiąc,

ani ułamka sekundy na pomyślenie czegokolwiek innego niż „co począć, żeby to, co robię, stało się mniej nudne?”.

Innymi słowy, ostatnie dwa lata spędziłam głównie na niezbyt dyskretnym czytaniu powieści fantasy i moich porzuconych fanfików, podczas gdy wokół mnie działały się te wszystkie nudziarstwa. Taka strategia przetrwania wydawała się naprawdę okej aż do teraz, bo właśnie się okazało, że nie jestem członkinią rodziny królewskiej obdarzoną starożytną mocą ani infiltrującą odległą krainę rycerką z mroczną tajemnicą. Jestem po prostu Riley. Bezsilną, zwyczajną i niepewną siebie. Dopiero teraz, gdy stoję tu, u progu samodzielnego życia, dociera do mnie, jak bardzo w siebie wątpię.

Dokładnie wtedy, gdy mrugam oczami, powstrzymując wysoce niekomfortowe i niemile widziane łzy, telefon znów wibruje mi w kieszeni. To esemes od Toma. Zdjęcie jego własnej Listy Marzeń zapisanej przez niego uroczco wielkimi literami. Tyle że on do ośmiu pozycji, które na niej pierwotnie spisaliśmy, dodał jeszcze dziewiątą: „Spotkać się naprawdę, w naszych cielesnych formach”.

Śmieję się zarówno z ulgi, jak i z nawiązania, którego użył; jako dzieciaki Tom i ja mieliśmy obsesję na punkcie *Tides of Time* – cyklu książek o podróżach w czasie, w których główni bohaterowie podróżowali albo we własnych ciałach, albo jako projekcje samych siebie. W związku z tym „cielesny” było jednym z najważniejszych słów w słownikach ośmioletnich nas. W fanfikach, które pisałam do tego cyklu, używałam tego słowa tak często, że litery, z których się składa, wytarły się na klawiaturze.

Od tego momentu uśmiech na mojej twarzy tylko się poszerza. Wyszczerczam się w końcu tak, jak nie robiłam tego od dawna – czuję, jakbym musiała nauczyć się tego od nowa.

A może to jest ten wstrząs, jakiego mi potrzeba. Defibrylator, który zresetuje moją psychikę. Pomyśl przychodzi mi do głowy tak szybko, że zanim się w pełni uformuje, ja praktycznie jestem

już jedną nogą w Nowym Jorku. Po raz pierwszy od dosłownie lat mam wolny weekend. Mogłabym bez problemu pojechać autobusem. Mogłabym przyduścić Toma w jednym z naszych firmowych absurdalnych uścisków jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Moglibyśmy nawet skreślić jakieś pozycje z Listy Marzeń. Czy jest lepszy sposób na odzyskanie kontaktu z dawną sobą niż robienie wszystkich rzeczy, na które dawna ja miała ochotę, i to z kimś, kto zna mnie prawie tak długo, jak ja sama znam siebie?

Może dzięki odnowieniu kontaktu znów zacznę pisać, ponieważ to Tom pierwszy zachęcał mnie, abym publikowała swoje teksty. Może wyduszę z niego, dlaczego prawie się nie odzywał przez ostatnie kilka miesięcy, a potem odzyskam swojego współnika w psotach. Może przestanę się czuć jak jakaś nudna wersja siebie, która nie błaznuje po to, żeby rozbawić przyjaciół, tak jak kiedyś, tylko dlatego, że bycie klasowym klaunem to jedyny sposób na zabicie czasu, gdy jest się przepracowanym na maksa.

I może wtedy zacznę odkrywać siebie na nowo, może zrozumieć, czego chcę tak naprawdę teraz, kiedy liceum wreszcie chowa się za horyzontem.

Serce wali mi pod żebrami jak u ptaka naćpanego kofeiną. Odpisuję:

**Rezerwuję bilet na popołudniowy autobus
do Nowego Jorku.**

Tom wysłał mi serię śmiejących się emoji. Nie jestem do końca pewna, czy mówię serio, i sądząc po reakcji Toma – on też nie. Czuję specyficzną ulgę, że ta dawna wersja mnie ciągle żyje w głowie Toma: odważna, pomysłowa, zabawna ja.

Może jeśli uda mi się dotrzeć ponownie do Toma, dotrę również do niej.

Znajduję mamę zerkającą pod rząd składanych krzeseł razem z rodzicami Jessego, którzy – w koszulkach Walking JED – przyłączyli się do poszukiwań. Zapisuję sobie w głowie, żeby zapytać, gdzie mogę kupić taki T-shirt, po czym z nagłym uczuciem lekkości dotykam ramienia mamy.

– To nic. Ktoś inny go pewnie znajdzie. Chodźmy.

Co prawda mam dostęp do lodów McFlurry każdego dnia mojej ziemskiej egzystencji, jednak jedzenie ich to zawsze święte wydarzenie. Przynajmniej dla mnie i mojej mamy. Mama zabierała mnie na nie za każdym razem, kiedy jako dziecko szłam na szczepionkę, a ja zaciągałam ją do Maka po zaliczeniu każdego semestru, aż w pewnym momencie pójście na McFlurry trwale połączyło się z osiągnięciem czegoś, co mogłoby się wydawać straszne lub trudne.

– Smak Oreo czy M&M's? – pyta mama, kiedy wsiadamy do jej rozklekotanej, aczkolwiek absurdalnie urokliwej starej hondy, którą kilka lat temu ozdobiłyśmy kwiecistymi naklejkami.

– Dziś jadę po bandzie. Oba.

– Moja krew – odpowiada mama, gdy samochód rusza z ociąganiem.

Kiedy auto stoi na parkingu, a my zajadamy się w nim lodami, ja mam już ogarnięty rozkład autobusów, listę rzeczy, które muszę ze sobą zabrać, i piosenkę *New York, New York* zapętloną w głowie, mimo że z jej tekstu znam dobrze tylko tytuł.

Odchrząkuję.

– Tak sobie myślę... Jest piątek.

– Wnikliwa obserwacja – stwierdza mama, wyławiając z kubeczka kawałek oreo.

Opieram kolana o deskę rozdzielczą.

– A ja zaczynam pracę w kawiarni dopiero w poniedziałek. Może wsiadłabym po południu w autobus, żeby w końcu spotkać się z Tomem w Nowym Jorku?

Mama mruga, jakby robak właśnie próbował wlecieć jej do oka.

– Zaraz, co?

Śmieję się.

– No serio. Zdajesz sobie sprawę, że minęły prawie trzy lata, odkąd się widzieliśmy? – Gapię się na telefon. – A Tom wydaje się jakby... no sama nie wiem.

Naprawdę nie wiem, nie wiem już od jakiegoś czasu. Ogólnie wiem, co dzieje się w jego życiu, jak to, że podróżował z mamą, albo że w końcu, spośród niezliczonej ilości obszarów, w których ma kujońską wiedzę, postanowił studiować psychologię. Wiem, jak spędza część swojego czasu – na przykład oglądając adaptację telewizyjną *Tides of Time* albo jeżdżąc jako kurier rowerowy aplikacji dostawczej Witaj, Kocham, w której ludzie mogą wysyłać anonimowe prezenty do każdego w mieście: od przyjaciół przez sympatie aż po rodzinę. Zawsze zakładałam, że kiedy się spotkamy, dowiem się szczegółów na ten temat.

Dłonie mamy zaciskają się na kierownicy.

– Miałam nadzieję, że porobimy coś razem w ten weekend, ty i ja. Trochę poświętujemy. Minęły wieki, odkąd spędziłyśmy razem cały dzień. – McFlurry kwaśnieje mi w ustach, i to bynajmniej nie z powodu żelek, które do niego dorzuciłam. Mama ma rację, ale wydaje mi się, że to bardziej jej wina niż moja; chcąc trzymać mnie z dala od kłopotów, pozapisywała mnie na niemal wszystkie zajęcia pozalekcyjne pod słońcem. Serio, na wszystkie; od przygotowania do olimpiady z nauk ścisłych przez salsę aż po symulację obrad ONZ. Łączyła je jedna cecha: w żadnej z tych dyscyplin nie miałam szczególnego talentu.

Mama uważa, że nie dostałam się do żadnego z college'ów z powodu dwudniowego zawieszenia, które odnotowano w moich dokumentach. Ja jestem przekonana, że stało się tak, gdyż nie mam żadnych konkretnych zainteresowań ani szczególnych cech osobowości. Ona zapisywała mnie ciągle na różne zajęcia, z których ja ciągle starałam się wymiksować, przez co nigdy nie uczęszczałam na żadne z nich wystarczająco długo, by wyglądać na choć trochę zaangażowaną. Nie pomogło również to, że moje zmiany w kawiarni utrudniały mi udział w jakichkolwiek weekendowych zawodach. W rezultacie moje aplikacje do college'ów wyglądały prawdopodobnie, jakby napisał je jakiś bot, który wypuł z siebie każde możliwe hobby i wszystkie prace dorywcze dostępne w naszym miasteczku, a moje w miarę przyzwoite oceny i wyniki egzaminów nie wystarczyły, by przechylić szalę na moją korzyść.

Tak czy inaczej jest, jak jest, teraz będę mieć do dyspozycji więcej wolnych dni, niż miałam przez ostatnie lata. Zmarnowałam wystarczająco dużo czasu, robiąc rzeczy, których nie lubię, aby przepuścić szansę na zrobienie czegoś, co będzie super.

– Hm, może w takim razie poświęcujemy razem w przyszły weekend? – pytam. A potem, choć palec aż mnie świerzbi, aby kliknąć w przycisk z napisem „kup bilet autobusowy”, dodaję: – Albo możemy spędzić razem ten weekend, a ja odwiedzę Toma w następny.

Mama wpatruje się w swoje topniejące lody, nie patrząc w moją stronę.

– Nie wydaje mi się, żeby to było rozsądne, jechać tam w pojedynkę.

Nasza rozmowa zesła na terytorium, na którym nie byliśmy nigdy wcześniej. Czuję się tak, jak pies sąsiadów Ribbit, kiedy jego opiekunowie zamontowali ogrodzenie pod napięciem – jakbym

nagle musiała zacząć testować granice, o których istnieniu nie miałam dotychczas pojęcia.

– To tylko dwa dni – mówię ostrożnie.

– Dwa dni? – Mama próbuje uśmiechnąć się porozumiewawczo, ale jej słowa wciąż brzmią sztywno. – Znam cię. W dziesięć sekund jesteś w stanie z niczego stworzyć problemy. Oczekujesz, że puszcę cię na Manhattan na czterdzieści osiem godzin?

„Problemy” to nie do końca dobre określenie, z czego mama zdaje sobie sprawę. Bardziej pasują tu „psoty”. Nieszkodliwe działania: głównie żarty czy sporadycznie przeszkadzanie w klasie, i okej, kilkukrotne wagary, by spotkać się z paczką ciamajd z lokalnego fandomu *Tides of Time* poznanych na Discordzie. Ale nigdy nie otarliśmy się o nic niebezpiecznego, no chyba że liczy się tych parę razy, kiedy Tom powierzył mi odczytanie mapy.

Śmieję się, również starając się, by brzmiało to lekko, i odpowiadam:

– No cóż, wiesz, mam osiemnaście lat.

Nie chcę wywoływać kłótni tymi słowami, zresztą my się po prostu nie kłócimy. Nawet gdybyśmy chciały, to zwyczajnie nie ma na to czasu – obie pracujemy i chodzimy do szkoły. Jednak mama się wzdryga, jakbym nie tyle wszczęła kłótnię, ile wręcz bez ostrzeżenia zaczęła wymachiwać pięściami.

– Muszę jechać do pracy – mówię nagle, odpalając samochód i kierując nas w stronę domu.

Zaciskam dłoń na kubku z McFlurry, jakbym mogła się go przytrzymać.

– Dobra, ale serio, kiedy mogę wybrać się do miasta? Spod metra odjeżdża autobus, mogę nim pojechać, gdy tylko będę chciała.

Moją intencją było, aby te słowa zabrzmiały jak propozycja, a nie jak groźba, ale mama natychmiast odwraca głowę w moją stronę i syczy:

– Czyli to tyle? Zamierzasz teraz po prostu uciec i robić, co ci się podoba?

– Nie. – Wiercę się z dyskomfortu. – Daję ci tylko znać, że technicznie rzecz biorąc, nie muszę prosić o zgodę.

Mama kręci głową.

– Nie jedziesz do Nowego Jorku.

Ze zdziwienia otwieram usta. Jedyne, co udaje mi się wydusić, to:

– Dlaczego nie?

– Dlatego, że to miasto przynosi same kłopoty, a wasza dwójka działa jak magnes na kłopoty. Przeszliśmy całe liceum bez żadnych problemów, czy nie może już tak zostać? Wiesz, minęło już kilka lat, czemu nagle tak bardzo chcesz się spotkać z Tomem?

Odkładam McFlurry, nagle zaczyna kręcić mi się w głowie.

– Zaraz. Zaraz – mówię, jakby moje usta nie były w stanie nadążyć za trybikami obracającymi się w głowie. – Czy przez cały ten czas... nie pozwalałaś mi tam pojechać c e l o w o?

Mama całkowicie ignoruje moje pytanie.

– Ja po prostu uważam, że powinnaś dać sobie na wstrzymanie. Nigdy nawet nie byłaś w tym mieście, a teraz, sekundę po skończeniu liceum, chcesz wskoczyć do autobusu z dwuminutowym wyprzedzeniem? – Kręci głową, ewidentnie nie czekając na odpowiedź. – Wiem, że rozmawiałaś dziś z Tomem. Pewnie oglądał transmisję, dlatego przy uścisku ręki wykonałaś tę waszą sekwencję ruchów. Ale to nie jest powód, by rzucić wszystko i jechać do niego.

– Niczego nie rzucam – protestuję.

– Ale to brzmi pochopnie. Dokładnie to się dzieje, ilekroć ty i Tom jesteście razem. Napędzacie się nawzajem, wydobywacie z siebie wszystko, co najgorsze.

Jeśli chciała znaleźć mój słaby punkt, w który mogłaby uderzyć, trafiła w dziesiątkę. W wersję mnie, do której właśnie próbowałam

wrócić – nie chodzi tylko o to, że gdzieś ją zgubiłam. Rzecz w tym, że moja mama najwyraźniej próbowała się jej pozbyć. Jej słowa niemal wytrącają mnie z równowagi. Nigdy nie pomyślałam, że doznam tak głębokiego i błyskawicznego poczucia odrzucenia, a już na pewno nie ze strony własnej mamy. Zwłaszcza nie po tym, jak spędziłam drugą połowę liceum, starając się grać według jej zasad.

– To nie jest wszystko, co we mnie najgorsze – udaje mi się wydusić. – To jestem ja.

– To ty w swojej najbardziej lekkomyślnej wersji – odpowiada mama. – A przecież wiem, że Vanessa jest zajęta pracą. Nikt nie będzie miał was na oku. Ostatnie, czego ci potrzeba, to pobyt u Toma w mieście, w którym na każdym rogu można wpaść w tarapaty.

Zrozumienie napływa do mnie falami. Czuję, jakbym zbyt wolno wybudzała się z długiego snu, cała zdezorientowana i bezładna.

– O mój Boże. Ty naprawdę trzymałaś mnie z dala od niego.

Najlepsze jest to – choć ona mogła tego nie wiedzieć – że z nas dwojga to Tom zawsze był bardziej odpowiedzialny. On był osobą, która sprawdzała godzinę, kiedy wyprawialiśmy się na swoje przygody. On miał kieszenie pełne przekąsek niczym nadopiekuńcza matka kwoka. A nawet gdyby nie był taki, to przecież nie zrobiliśmy nic aż tak złego, a mama się zachowuje, jakbyśmy zmierzali prosto do zakładu poprawczego.

Jej głos łagodnieje.

– Ja po prostu nie chcę, żebyś zrobiła coś, czego będziesz żałować.

– Za późno – mówię zdławionym głosem. – Żałuję każdej minuty, w której nie zdawałam sobie sprawy, że nas rozdzielasz.

Czuję dużo więcej, ale nie umiem nawet znaleźć słów, by jej to wyjaśnić (w każdym razie takich, które nie brzmiałyby jak

wyciągnięte z netfliksowskiej teenage dramy). Nie chodzi tylko o to, że mnie zraniła. Czuję się zdradzona. Może nie zawsze się we wszystkim zgadzałyśmy, ale myślałam, że byłyśmy ze sobą szczerze. A jednak – wszystkie te stracone okazje, o których myślałam, że nie są niczyją winą, wszystkie te lata, kiedy z pochyloną głową po prostu przyjmowałam taki stan rzeczy. Gdybym tylko starała się trochę bardziej, gdybym bardziej docisnęła. Gdybym choć raz zakwestionowała jej słowa, tak jak robiłam to, kiedy byłam młodsza, odważniejsza i naprawdę obecna we własnym życiu, może zorientowałabym się dużo wcześniej, że to ona mnie ogranicza.

Być może z wielu rzeczy zdałabym sobie sprawę znacznie wcześniej i teraz nie czułabym się taka zagubiona.

Mama zatrzymuje się na chwilę pod naszym blokiem. Jest już tak mocno spóźniona do pracy, że nie opłaca się jej parkować samochodu, żeby mnie z niego wypuścić.

– Kiedy będziesz starsza i wszystko trochę się uspokoi, sama zrozumiesz. To było dla twojego dobra – mówi bardziej w stronę przedniej szyby niż do mnie.

A wtedy zaskakuję samą siebie. Koniec z proszeniem o zgodę.

– Bus odjeżdża o szesnastej.

Mama zamyka oczy i głośno wypuszcza powietrze.

– Riley.

– Przykro mi – odpowiadam, bo nie mogę się powstrzymać. Bo mimo wszystko jest mi przykro. – Ale jesteś mi winna przynajmniej jeden weekend. Musisz mnie wypuścić.

Otwiera oczy, gwałtownie kręcąc głową.

– Nie rób tego.

Jestem tak wściekła, że mogłabym wrzeszczeć do pustego kubka po McFlurry, mogłabym trzasnąć drzwiami samochodu niczym Hulk, ale mówię serio. Zamierzam jechać. Jednak nie chcę

rozstawać się z nią w gniewie. Kiedy podejmuję tę decyzję, dociera do mnie, że po raz pierwszy w ogóle się z nią rozstaję.

Pozostaję na swoim miejscu. Mimo wszystko wciąż czekam na jakiś sygnał z jej strony.

– Napiszę do ciebie, kiedy dojadę na miejsce – oznajmiam w końcu.

Mama nie odpowiada. Na krótką chwilę pochyla głowę w moją stronę i wypuszcza ciężki, trudny do zinterpretowania oddech. Spogląda na mnie, jakby chciała zapytać: „I na co czekasz?”, a ja zdaję sobie sprawę, że czekam na jej zgodę. Może i zdarzało mi się obchodzić ją jako dziecko, czasem nawet z nią igrać, ale nigdy wcześniej nie przeciwstawiłam się jej tak otwarcie.

A jednak ona nie zamierza dać mi pozwolenia. Teraz muszę w końcu postanowić coś całkiem sama. Czuję ekscytację i przerażenie, moje serce jest lekkie niczym balon, ale żołądek ciąży mi jak kamień. Jakby było we mnie tyle chaosu, że może z niego wynikać tylko upiorny spokój. Biorę oddech, sama udzielam sobie pozwolenia i delikatnie zamykam za sobą drzwi auta.



-  wydawnictwokobiece.pl
-  Wydawnictwo Young
-  [wydawnictwoyoung](https://www.instagram.com/wydawnictwoyoung)
-  [wydawnictwoyoung](https://www.tiktok.com/@wydawnictwoyoung)

 Young